

## Prof. Zbigniew Stawrowski: Drugie oblicze miłosierdzia

Kiedy zastanawiamy się nad duchowym klimatem panującym dziś w naszej ojczyźnie, nic nie daje bardziej do myślenia niż to, że po upadku komunizmu nie było niemal żadnych publicznie znanych nawróceń, żadnego uznania własnych win i gotowości zadośćuczynienia - pisał prof. Zbigniew Stawrowski po VIII pielgrzymce Jana Pawła II do Polski, której tematem wiodącym było Boże Miłosierdzie

*Wtedy zastanowił się i rzekł: (...) zabiorę się i pójdę do mego ojca i powiem mu: Ojcze zgrzeszyłem przeciw Bogu i względem Ciebie; już nie jestem godzien nazywać się twoim synem: uczynź mnie choćby jednym z najemników.” (Łk 15,11-32)*

Główne przesłanie ostatniej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski to poruszające słowa o Bożym Miłosierdziu, do którego docieramy i w którym uczestniczymy sami pełniąc akty miłosierdzia (*VIII podróż apostolska Jana Pawła II do Polski miała miejsce w dniach 16-19 sierpnia 2002 r. i przebiegała pod hasłem "Bóg bogaty w miłosierdzie - red.*). Przesłanie wydaje się proste i jednoznaczne. Jest jak dobre ziarno zasiane przez siewcę, a to czy wyda plon, czy wydziobią je ptaki lub zagłuszą ciernie, zależy będzie od wrażliwości serc, mocy woli i przede wszystkim jasności naszych umysłów. Każdy z nas został osobiście wezwany do refleksji, aby słowa o miłosierdziu przetłumaczyć na konkret i odnaleźć własną drogę wewnętrznej przemiany i zewnętrznego działania. Warto, więc na spokojnie wczytać się w homilie z Łagiewnik, Błoni i Kalwarii, warto sięgnąć do encykliki o Bożym

Miłosierdziu. Warto również przysłuchiwać się uważnie popielgrzymkowym komentarzom – także i tym, które z orędzia Jana Pawła II usiłują uczynić ideologiczną podpórkę dla niezbyt chrześcijańskich programów. Tak, bowiem, wygląda konkret naszego życia i w nim właśnie, a nie gdzie indziej, mamy odpowiedzieć na papieskie przesłanie.

Jest faktem, że w czasie niedawnej wizyty w Polsce Ojciec Święty położył nacisk przede wszystkim na miłosierdzie rozumiane jako postawa samarytańska. Mówiąc o różnych formach ubóstwa, o potrzebie wrażliwości na ludzkie nieszczęście i obowiązku udzielenia bliźnim niezbędnego wsparcia, a także beatyfikując osoby znane z troski o najuboższych i odrzuconych, akcentował to oblicze miłosierdzia, które wcześniej konsekwentnie nazywał solidarnością. Solidarność, wyrastająca z poczucia głębokiej braterskiej wspólnoty, ma być naszą odpowiedzią na każdą ludzką biedę, niezależnie od tego, czy osoby, które należy wesprzeć, same są sobie winne, czy zawinili inni, czy też winny jest po prostu los. Problem winy jako przyczyny nieszczęścia, choć może okazać się ważny w perspektywie bardziej długofalowych działań, z pewnością nie jest pierwszoplanowy, gdy ktoś cierpiący pilnie oczekuje na pomocną dłoń.

Oczywiście, samarytańska postawa potrzebna jest zawsze i wszędzie, i nigdy jej za wiele; trudno jednak nie dostrzec pozytywnych zmian, które pod tym względem zaszły w naszym kraju. Współcześni polscy apostołowie miłosierdzia budzą dziś powszechny podziw i szacunek. Co więcej, zamiast prowadzić boje ze zwalczającymi ich działalność instytucjami państwa, jak to miało miejsce przed rokiem 1989, mogą czasem liczyć nawet na ich wsparcie. Na tle wielorakich aksjologicznych sporów dzielących polskie społeczeństwo, tak rozumiane miłosierdzie wyróżnia się jako niekwestionowana i powszechnie akceptowana wartość, choć zdarzają się oczywiście różnice poglądów co do właściwych form jej realizacji. Można więc powiedzieć, że

dla samarytańskiej solidarności z potrzebującymi istnieje w naszym kraju zarówno sprzyjający duchowy klimat jak i w miarę przyjazna instytucjonalna przestrzeń, toteż zakres praktykowania takiej postawy zależy przede wszystkim od przezwyciężenia ociążałości naszych serc.

*Aby miłosierdzie jako  
przebaczenie i pojednanie mogło  
się w Polsce objawić, potrzebni  
są świadkowie tego, że ojcowski  
dom istnieje i czeka na synów  
marnotrawnych z otwartymi  
drzwiami*

Istnieje jednak drugie,  
nie mniej ważne  
oblicze miłosierdzia,  
gdzie kwestia winy i  
odpowiedzialności, a  
tym samym i  
sprawiedliwości, nie  
może zostać pominięta.  
Czym innym jest,  
bowiem, zło fizyczne

(choroba, nieszczęście), czym innym zaś zło moralne (wina, grzech) – inaczej też w obu przypadkach wygląda perspektywa skutecznej pomocy, której udzielić może osoba gotowa okazać miłosierdzie. Jeśli w pierwszym przypadku chodzi głównie o to, abyśmy uświadomili sobie, co wynika z oczywistego poczucia wspólnoty i solidarności z braćmi będącymi w potrzebie, o tyle w drugim – w przypadku zła moralnego, które sięga głębiej i niszczy elementarne relacje międzyludzkie – najważniejsze okazuje się przywrócenie zerwanych więzi wspólnoty. Najważniejsze i – dodajmy – znacznie bardziej trudne.

To drugie oblicze miłosierdzia stanowi główny temat encykliki *Dives in misericordia* (DM). W centrum rozważań Jana Pawła II znajduje się tu nie przypowieść o miłosiernym samarytaninie, lecz o synu marnotrawnym: o kimś, kto zagubił się i zmarnował swoje dziedzictwo, ale zdołał się opamiętać i oto wraca skruszony do domu ojca, który przyjmuje go z radością. Opowieść

ta ma charakter uniwersalny. Jest archetypem każdej sytuacji autentycznego przebaczenia i pojednania, niezależnie od tego, czy ma ono miejsce w ramach chrześcijańskiego sakramentu pokuty, czy też w zwyczajnych, „świeckich” konfliktach między ludźmi. „Ten syn – pisze papież – /.../ to poniekąd człowiek wszystkich czasów” (DM, 5)

Bólem, który woła o pomoc, nie jest tu po prostu materialna nędza czy fizyczne osamotnienie syna, lecz coś o wiele ważniejszego – utracona synowska godność, zmarnowane człowieczeństwo. Kto doznaje bólu? – Taki ból jest zawsze po stronie zranionej miłości! Gdy syn porzuca dom i w uciechach świata trwoni swoje dziedzictwo, to nie on zrazu cierpi, lecz jego ojciec. Nawet nieskończona dobroć i miłosierdzie ojca nie są w stanie same ugasić owego cierpienia, bowiem ból wzmacnia się tym bardziej, im większa jest ojcowska miłość, im większe pragnienie odbudowania zerwanej więzi z synem. Nikt inny, jak tylko zagubiony syn może okazać się miłosiernym samarytaninem, który opatrzy ojcowską ranę. Miłosierdzie ojca, aby odrodzić zniszczoną wspólnotę, musi więc spotkać się z miłosierdziem syna; nie jest ono postawą jednostronną, lecz wymaga wzajemności. Ks. Józef Tischner, komentując papieską encyklikę, ujął to w prostych słowach: do drzwi miłosierdzia potrzeba dwu kluczy – jeden ma w ręku ojciec a drugi syn; z jednej strony potrzebna jest gotowość przebaczenia, z drugiej – nawrócenie.[1]

W ewangelicznej opowieści drzwi od strony ojca są zawsze otwarte, dlatego też przywrócenie wspólnoty zależy w gruncie rzeczy od postawy marnotrawnego syna. Co jest tym kluczem, co jest koniecznym warunkiem urzeczywistnienia miłosierdzia, którego wypełnienie spoczywa wyłącznie w jego rękach? Jest nim przede wszystkim akt spojrzenia na siebie w prawdzie. Dopiero znalazłszy się na dnie, syn nie tylko uświadamia sobie, ile zmarnował i zaprzepaścił, lecz przede wszystkim dostrzega wreszcie swoją szczególną synowską godność, która, choć poraniona i nadwątlona jego własnymi

czynami, ciągle jest w nim żywa. Kiedy już odkryje w sobie ten sam ból, który rozdziera ojcowskie serce – ból z powodu zagubionego człowieczeństwa i zerwanej więzi, nic nie będzie dla niego ważniejsze niż powrót do domu. Syn wyrusza w drogę, gotowy przyjąć na siebie wszelkie konsekwencje swojego dotychczasowego marnotrawnego życia. „Uświadamia sobie – czytamy w encyklice – że nie ma prawa do niczego więcej, jak do stanu najemnika w domu swojego ojca. Decyzja jego zostaje podjęta z całym poczuciem tego, na co zasłużył i do czego jeszcze może mieć prawo przy zachowaniu ścisłej sprawiedliwości.” (DM, 5)

Powracający syn nie zostaje jednak najemnikiem. Widząc jego skruchę, ojciec potwierdza jego synowską godność i przyjmuje do rodziny. Jest bowiem świadom, „że ocalone zostało zasadnicze dobro: dobro człowieczeństwa jego syna. Wprawdzie zmarnował majątek, ale człowieczeństwo ocalało.” (DM,6) W ten sposób miłosierdzie zostaje wypełnione, ból rozdarcia – ból ojca i ból syna – wygaszony, wspólnota przywrócona.

W ewangelicznej przypowieści pojawia się również inna ważna postać – postać starszego syna, który najchętniej, gdyby to on dzierżył ojcowskie klucze, nikogo, kto raz porzucił dom, z powrotem by nie wpuścił. Starszy syn wydaje się niewrażliwy i niemiłosierny; tak jak teraz nie odczuwa radości będącej udziałem ojca, tak zapewne wcześniej nie odczuwał jego bólu. Z drugiej strony trudno odmówić mu wielu zalet: jest posłuszny, wiernie przestrzegający ojcowskich przykazań, sprawiedliwy – właśnie poczuciem, że naruszone zostają zasady, których nauczył się w domu ojca, motywuje swój sprzeciw, by w powracającym człowieku uznać swego brata. Nie pojmując, czym jest miłosierdzie, wyraźnie obawia się, że okaże się ono aktem rażącej niesprawiedliwości. Obawia się niesłusznie, bo jak tłumaczy mu ojciec: „ty

zawsze jesteś przy mnie i wszystko moje do ciebie należy. A trzeba się weselić i cieszyć z tego, że ten brat twój był umarły, a znów ożył; zaginął a odnalazł się”. (Łk 15,31-32)

Chociaż w encyklice *Dives in misericordia* postawa starszego brata nie jest bezpośrednio rozważana, obrazowany jego osobą delikatny problem relacji między sprawiedliwością a miłosierdziem znajduje jednoznaczną wykładnię: „Wymagane przebaczenie nie niweczy obiektywnych wymagań sprawiedliwości. (...) W żadnym miejscu orędzia ewangelicznego ani przebaczenie, ani też miłosierdzie jako jego źródło, nie oznacza pobłażliwości wobec zła, wobec zgorszenia, wobec krzywdy czy naprawienia zgorszenia, wyrównania krzywdy, zadośćuczynienia zniewagi wyrządzonej. W każdym wypadku naprawienie tego zła, za zniewagę, jest warunkiem przebaczenia. Tak więc podstawowa struktura sprawiedliwości wkracza zawsze na obszar miłosierdzia. To ostatnie posiada jednakże moc wypełnienia sprawiedliwości nową treścią. Treść ta najprościej i najpełniej uwydatnia się w przebaczeniu. Ono, bowiem, ukazuje, iż poza całym procesem «wyrównawczym», czy «rozejmowym», który właściwy jest dla samej sprawiedliwości, dochodzi do głosu miłość, czyli afirmacja człowieka. Spełnienie zaś warunków sprawiedliwości jest nade wszystko nieodzowne, ażeby ta miłość mogła niejako odsłonić swoje oblicze.” (DM 14) Powtórzmy: miłosierdzie nie przeciwstawia się wymaganiom sprawiedliwości, ani też ich nie pomija, lecz zakłada je i potwierdza.

\*\*\*

Refleksje Jana Pawła II osnute wokół przypowieści o synu marnotrawnym jasno ukazują sens oraz konieczne warunki realizacji tego aspektu miłosierdzia, które wyraża się w przebaczeniu win i pojednaniu. W ich świetle

zapytajmy wprost: czy w życiu społeczno-politycznym dzisiejszej Polski owo przebaczenie i pojednanie ma jakąkolwiek szansę stać się rzeczywistością? Nie trzeba szczególnej wyobraźni, by dostrzec, że to właśnie w tej sferze mamy do czynienia z największym „deficytem” miłosierdzia, że tu znajduje się źródło najbardziej dotkliwego bólu, który rozdziera nasz ojczysty dom i który nie może znaleźć ukojenia. Duchowy klimat, jaki panuje wokół tak rozumianego miłosierdzia, na pewno nie jest sprzyjający, zaś instytucjonalne rozwiązania – wręcz mu wrogie.

Istnieje bowiem w naszym kraju ogromna rzesza ludzi, którzy cierpią nie tylko z powodu biedy, braku pracy, osamotnienia czy choroby, lecz przede wszystkim z powodu braku sprawiedliwości. Skrzywdzeni przez innych, pozbawieni nadziei na zadośćuczynienie, niosą w sobie rany podeptanej godności. Nie chodzi tu jednak wcale o powszechnie znaną niewydolność systemu sądownictwa ani też o coraz liczniejsze przypadki naruszania sprawiedliwości przez instytucje, które mają stać na jej straży. Te wszystkie aktualne negatywne zjawiska mają o wiele głębsze źródło. Wspiera je zasada, która stała się fundamentem i aktem założycielskim III Rzeczypospolitej – zasada wystawienia sprawiedliwości na pośmiewisko

Spoglądając na dramat dzisiejszej Polski przez pryzmat przypowieści o synu marnotrawnym, musimy zauważyć, że sytuacja naszego kraju, podobnie jak i innych państw, które wloką za sobą cień totalitarnej przeszłości, jest znacznie bardziej skomplikowana, bowiem marnotrawni synowie nie tylko marnowali swoją cześć ojcowizny, ale, co gorsza, stali się najemnikami niszczącymi dziedzictwo, a czasem i życie swoich braci. Spustoszenia, które spowodowali, nie ulotniły się bez śladu. Są wśród nas ich świadkowie: rodziny pomordowanych, byli więźniowie, ludzie bici, okradani z własności, wyrzucani z pracy, pozbawiani możliwości nauki, studiów, zmuszani do emigracji i – co dotyczy bez wyjątku wszystkich – zatruwani od dzieciństwa

kłamstwami komunistycznej propagandy. Jest żywa pamięć o latach nieprawości, są ofiary i wciąż nie zagojone rany, tylko ich sprawcy jakoś zniknęli. Nic dziwnego, że wielu skrzywdzonych ludzi niesie w sobie głębokie poczucie niesprawiedliwości. To jest ich najdotkliwszy ból i rana, która pilnie domaga się opatrzenia.

Oczywiście, bywają krzywdy obiektywnie już nie do naprawienia: ich sprawcy nie żyją, nie ma też świadków, brakuje dowodów. To wszystko można by zrozumieć i z tym się pogodzić, gdyby krzywdę nazywano krzywdą, ofiarę – ofiarą, sprawcę – sprawcą, a ludzie zranieni mieli poczucie, że w ich ojczystym domu sprawiedliwość, jako niepodważalna wartość i stale obecna zasada regulująca życie wspólnoty, nie jest otwarcie lekceważona. Gdy dzieje się inaczej, do dawnego bólu dołącza się ból nowy, czasem bardziej dotkliwy. Jak można mu zaradzić? Kto ma tu być miłosiernym samarytaninem? Odpowiedź jest prosta: to na osobach odpowiedzialnych za państwo spoczywa elementarny obowiązek takiego kształtowania jego praw i instytucji, aby ich celem nie było nic innego niż właśnie sprawiedliwość. Niestety ta prosta odpowiedź zarówno dla ojców założycieli III RP, jak i dla kolejnych rządzących Polską formacji politycznych, okazała się zbyt trudna – uznano ją za nieistotną, szkodliwą i niezrozumiałą.

W jaki sposób zakwestionowano potrzebę oparcia fundamentów naszego państwa na imperatywie bezwzględного przestrzegania zasady sprawiedliwości? Otóż wielokrotnie mogliśmy usłyszeć, że sprawiedliwości nie należy dociekać zbyt rygorystycznie, bo ci, którzy się jej domagają, kierowani są przede wszystkim pragnieniem zemsty. Trudno wykluczyć, że czasem bywa i tak. Ale jakie to ma znaczenie wobec obowiązku sprawiedliwej kary i naprawienia krzywd? Miarą sprawiedliwości jest przecież sam czyn oraz intencje jego sprawcy, a późniejsze odczucia ofiar nie mają tu nic do

rzeczy. Jeśli nawet zdarza się, że ktoś boleśnie skrzywdzony pragnie ujrzeć cierpienia swego prześladowcy, to czy obniża to w jakikolwiek sposób wagę przestępczego czynu i usprawiedliwia krzywdziciela?

Nie wszyscy jednak pokrzywdzeni żywią w swych sercach wrogię uczucia i wielu z nich z pewnością gotowych byłoby pojednać się z dawnymi krzywdzicielami. Ich wołanie o prawdę i sprawiedliwość nie ma nic wspólnego zemstą, lecz bierze się z pragnienia posiadania ojczyzny, która byłaby miejscem autentycznej powszechnej wspólnoty. Jest wyrazem bólu rozdarcia – tego samego bólu, który przeszywał ojca czekającego na powrót marnotrawnego syna. Tylko przebaczenie zagoiłoby ową ranę, ale tam, gdzie nie spełnione zostały warunki elementarnej sprawiedliwości, skrzywdzeni nie tylko nie mają szansy faktycznie przebaczyć, lecz nawet sama ich gotowość do wybaczenia wystawiona jest na ciężką, nie mającą końca próbę. Z rany, która się nie goi i jątrzy, wciąż rodzi się pokusa, aby na swego krzywdziciela spoglądać nie z miłością jak na zagubionego brata, tylko z nienawiścią jak na śmiertelnego wroga. Bowiem to nie z żądzы zemsty budzi się pragnienie sprawiedliwości, lecz odwrotnie – to raczej zdeptana nadzieja na osiągnięcie sprawiedliwego zadośćuczynienia sprzyja pojawieniu się uczucia nienawiści i pragnieniu zemsty. W takiej sytuacji trzeba doprawdy wielkiej siły ducha, by nie poddać się owej pokusie.

Obok tysięcy ludzi, których dawne rany zaczęłyby się goić, gdyby tylko mogli dostrzec, że ich ojczysty dom, oparty został na sprawiedliwych zasadach, żyje w naszym kraju niemniej liczne grono osób być może o wiele bardziej potrzebujących miłosierdzia. To bezpośredni i pośredni sprawcy owych ran. To ci wszyscy, którzy w różnych miejscach i na rozmaite sposoby budowali i wspierali przez lata komunistyczny system, niszcząc i krzywdząc zarówno swoich bliźnich, jak i samych siebie. Oni również – każdy na miarę swoich

własnych czynów – potrzebują prawdy i sprawiedliwości, by odnaleźć powrotną drogę do domu ojca. Problem w tym, że w ogromnej większości, wcale jej nie poszukują.

Kiedy zastanawiamy się nad duchowym klimatem panującym dziś w naszej ojczyźnie, nic nie daje bardziej do myślenie niż to, że po upadku komunizmu nie było niemal żadnych publicznie znanych nawróceń, żadnego uznania własnych win i gotowości zadośćuczynienia. Mimo żywej pamięci świadków, mimo pracy historyków, którzy wydobywają na jaw coraz to nowe szczegóły o zbrodniach oraz większych i mniejszych nikczemnościach związanych z okresem PRL-u, ich sprawcy, a choćby tylko ich bierni współuczestnicy, robią wszystko, by zataić prawdę o przeszłości i wymazać ją ze swojej i naszej pamięci. A jeśli w obliczu niepodważalnych dowodów nie mogą już czemuś wprost zaprzeczyć, to nie widać na ich twarzach nawet cienia wstydu.

Dlaczego synowie marnotrawni nie chcą wracać do domu? Dlaczego zupełnie nie rozlega się głos tych, którzy nie tak dawno krzywdzili swych braci i dziś najgłośniejszy powinni wołać o pomoc? Pytaniom tym dodaje dramatyzmu fakt, że przecież wcale nie tak dawno, bo w latach rewolucji etycznej 1980-81, przeżyliśmy w Polsce okres masowych nawróceń[2]. Dlaczego więc po roku 1989 nastał czas masowej amnezji?

Możliwe są tu różne odpowiedzi. Pierwsza z nich brzmiałaby tak: brak nawróceń nie powinien dziwić, bo ci, co mieli wrócić, wrócili już wcześniej. Kto po wprowadzenia stanu wojennego opowiedział się po stronie komunistycznego reżymu, ten ostatecznie okazał się człowiekiem pozbawionym sumienia, wybrał życie w kłamstwie świadomie oddając się na służbę nieprawości. Nie ma zatem co liczyć na nowe nawrócenia, ani na wspólny dom. Trzeba po prostu uwzględnić fakt, że w Polsce istnieją dwa radykalnie wrogie obozy, między którymi nie ma żadnej możliwości pojednania i między którymi toczyć się będzie walka aż do zwycięstwa

jednego z nich. Jeśli chcemy, by nasz kraj stał na fundamencie prawdy i sprawiedliwości, musimy doprowadzić do wykluczenia z niego tych wszystkich, którzy służyli i dalej służą nieprawości. Nietrudno zauważyć, że choć taka odpowiedź w opisie społecznej rzeczywistości wydaje się w dużym stopniu prawdziwa, to jest ona jednocześnie odpowiedzią głęboko niechrześcijańską, naznaczoną widocznym piętnem manicheizmu. Przypomina niemiłosierną postawę starszego syna, który swemu zagubionemu bratu – gdyby ten jakimś trafem zechciał wrócić do domu – zamiast przebaczenia i pojednania gotów jest okazać jedynie wzgardę i zamknięte drzwi.

A może to właśnie starsi bracia spowodowali, że młodsi nie wracają? Może winni są ci wszyscy, którzy z niewzruszonym poczuciem własnych zasług i nieskalanej wierności osądzają i potępiają innych, odpychając ich tym samym od ojcowskiego domu? Niezależnie od tego jak irytującą bywa taka postawa, to nie ona z pewnością stanowi główną przyczynę tego, że marnotrawni synowie nie spieszą się z powrotem. Ostatecznie dom jest domem ojca, a nie nadgorliwego starszego syna. Prawdziwy dylemat ludzi zagubionych polega na tym, czy pamiętają oni jeszcze, gdzie mieści się ich ojcowski dom i czy pragną do niego wrócić. Natomiast problem starszego syna jest przede wszystkim jego własnym wewnętrznym problemem, który zresztą ujawnia się w pełni dopiero wtedy, gdy nawrócony brat stoi już u drzwi.

Na pewno nie sprzyjała nawróceniom sytuacja, gdy dawni funkcjonariusze komunistycznego systemu już u progu III RP zapewnili sobie materialne uprzywilejowanie w stosunku do reszty społeczeństwa. Wielu z nich, pochłoniętych bez reszty nowymi możliwościami rozrzutnego życia, nie było i wciąż nie jest gotowych do jakiegokolwiek refleksji na sobą i własną przeszłością. Trudno jednak przypuszczać, by dotyczyło to wszystkich ludzi uwikłanych w zło PRL-u. Zapewne przynajmniej niektórzy odczuli po 1989 roku cień niepokoju. Może było im głupio, że ich dotychczasowy pomysł na

życie – oportunizm, cynizm, gotowość na kłamstwo dla kariery i wygody - został nazwany publicznie podłością. Może choć przez chwilę uświadomili sobie wagę utraconej godności, poczuli się z tym nieswojo, i zapragnęli wrócić do domu ojca. Dlaczego zatem zatrzymali się w pół drogi? Dlaczego zachowali się tak, jakby nie było żadnego domu ojca, żadnej ojczyzny, która na nich czeka? Dlaczego uznali, że powrót wcale ich nie dowartościuje a wyznanie win okaże się tylko dodatkowym poniżeniem, z którego nie wyniknie żadne potwierdzenie synowskiej godności ani przywrócenie na łono wspólnoty?

Czy nie są za to w największym stopniu odpowiedzialni ci, którzy od początku III RP wszem i wobec głoszą, że nie ma żadnego domu ojca, że dążenie do prawdy i sprawiedliwości to tylko wyraz resentymentu słabych i przegranych, pragnących w ten sposób zemścić się na tych, którym się powiodło? Co ma bowiem robić syn marnotrawny, który w ich słowa uwierzy i ostatecznie zwątpi w to, że ma jeszcze dokąd wracać? Jaka droga się przed nim otwiera? W świecie, w którym nie ma ani pamięci prawdziwego domu, ani perspektywy synów obdarzonych najwyższą godnością, pozostaje jedynie miejsce dla sług takiego czy innego hodowcy świń, zaś szczytem życiowej kariery dla najbardziej ambitnych – stanie się samemu panem i właścicielem jakiegoś stada. Z pewnością to właśnie ci ludzie, którzy – świadomie lub bezmyślnie – proponują i rozpowszechniają taką wizję świata, najbardziej dziś potrzebują miłosierdzia. To ich ciężką winą jest pozbawianie nadziei zarówno ofiar, jak i sprawców krzywd: ofiar – nadziei na zabliznienie ran, krzywdzicieli – na ponowne odkrycie godności i wolności, których warunkiem jest uznanie prawdy o sobie i o własnych czynach. To oni budują mur, który dzieli naszą ojczyznę na dwa wrogie obozy i przekreśla szanse zbudowania autentycznej wspólnoty.

Aby miłosierdzie jako przebaczenie i pojednanie mogło się w Polsce objawić, potrzebni są świadkowie tego, że ojcowski dom istnieje i czeka na synów marnotrawnych z otwartymi drzwiami. Najbardziej wiarygodnym świadkiem owego przesłania jest dziś sam Ojciec Święty, żywy symbol domu ojca, domu opartego na prawdzie i sprawiedliwości, do którego każdy, nawet najbardziej zagubiony syn, jeśli odnajdzie w sobie głos sumienia i wróci skruszony i gotowy zaakceptować zasady obowiązujące w ojcowskim domu, zostanie przyjęty z radością, wywyższony i dowartościowany. W czasie ostatniej papieskiej pielgrzymki w Łagiewnickim sanktuarium padły słowa, których zrozumienie i wypełnienie stanowi najważniejsze wyzwanie dla nas wszystkich – wierzących i niewierzących – ludzi dobrej woli poszukujących wspólnej ojczyzny: „Potrzeba miłosierdzia, aby wszelka niesprawiedliwość na świecie znalazła kres w blasku prawdy.”

*prof. Zbigniew Stawrowski*

*Artykuł ukazał się pierwotnie w miesięczniku Znak nr 11/2002*

[1] por. J. Tischner, Drogi i bezdroża miłosierdzia, Kraków 2001, s. 49

[2] O tym właśnie, głęboko moralnym wymiarze fenomenu solidarności - wspólnoty ludzi, którzy odkryli, że tak naprawdę liczy się jedynie życie zgodne z sumieniem - pisałem niedawno: „Czas pierwszej solidarności to czas masowych wręcz konwersji. Nie chodzi tu jednak o konwersje w sensie powrotu do Boga i Kościoła. To znaczy nie tylko o nie. To, co się wtedy wydarzyło, było czymś znacznie więcej. Wówczas nawracali się, całkowicie odmieniając swoje życie, zarówno ateści, jak i przykładni katolicy. Wielu jest

wśród nas takich nawróconych ateistów czy agnostyków, którzy w owym czasie podnieśli głowy, przestali się lękać i postanowiwszy żyć godnie i bez fałszywych kompromisów, wyrzucali legitymacje partyjne i inne łańcuchy zniewolenia kłamstwem. Wielu z nich wytrwało do dziś w tej decyzji, choć czasem ich obecny związek z Kościołem jest jeszcze bardziej odległy niż 20 lat temu. Ale nawracali się wówczas również bogobojni katolicy, w tym i księża, którzy dopiero dzięki wspólnocie solidarności dostrzegli, że ich serce zrobiły się ciasne i wrażliwe jedynie na sprawy prywatnego ogródka czy zakrystii, że zbyt łatwo pogodzili się z tym, by ich życiem rządziła zasada: „Panu Bogu świeczkę a diabłu ogarek.” (Z. Stawrowski, Solidarność znaczy więź, w: Wł. Zuziak red., Idea Solidarności dzisiaj, Kraków 2001)